

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 26

Katowice, dnia 24-go czerwca

1928

Niedziela czwarta po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian, w rozdziale VIII, w. 18—23.

Bracia! Sądzę, iż utrapienia tego czasu niniejszego, nie są godne przyszłej chwały, która się w nas objawi. Albowiem oczekiwanie stworzenia, oczekiwania objawienia Synów Bożych. Bo próżności poddane jest stworzenie, nie dobrowolnie, ale dlatego, który je poddał pod nadzieję; bo i samo stworzenie będzie wyswobodzone z niewoli skażenia, na wolność chwały synów Bożych. Wiemy bowiem, iż wszystko stworzenie wzdycha, i jako rodząca, boleje dotąd. A nie tylko ono, ale i my sami mający pierwiastki Ducha, i sami w sobie wzdyhamy oczekiwając przywłaszczenia synów Bożych, odkupienia ciała naszego, w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

EWANGELJA

zapisana u św. Łukasza w rozdziale V., w. 1—11.

W on czas: Gdy rzesze cisnęły się do Jezusa, by słuchać słowa Bożego, On właśnie stał nad jeziorem Genezaret. Widząc zaś dwie łodzie, stojące przy brzegu — rybacy bowiem wysiedli i płókali sieci — wszedł do jednej łodzi, która była Szymona, i poprosił go, aby nieco odbił od brzegu. I usiadłszy, nauczał rzesze z łodzi.

A gdy skończył przemowę, rzekł do Szymona: Wyjdziesz na głębie, a zapuścicie sieci wasze na połów. Ale Szymon odezwał się i rzekł doń: Mistrzu, mozoliliśmy się przez całą noc, a niceśmy nie ułowili; ale na Twe słowo zarzucę sieć. I gdy to uczynili, zagarnęli wielkie mnóstwo ryb, a sieć ich rwać się zaczęła. To też skinęli na towarzyszków, co byli w drugiej łodzi, by im przyszli z pomocą. Ci nadpłynęli, i napełniono obydwie łodzie, tak, że o mało nie zatonęły. Widząc to Szymon Piotr, przypadł do kolan Jezusa, mówiąc: Panie, wyjdź odemnie, bom człowiek grzeszny! Na taki bowiem połów ryb, jakiego dokonali, osłupienie ogarnęło jego i wszystkich, co z nim byli; a podobnie i Jakóba i Jana, synów Zebedeuszowych, którzy byli towarzyszami Szymona. Jezus jednak rzekł do Szymona: Nie bój się! Odtąd już ludzi łowić będziesz. A wyciągnawszy łodzie na brzeg, rzucili wszystko i poszli za Nim.

Na Uroczystość świętych Apostołów Piotra i Pawła.

LEKCJA

z Dziejów Apostolskich, rozdział XII., w. 1—11.

W onych dniach: Oburzył się mocą król Heród, aby utrapić niektórych z kościoła. I zabił Jakóba, brata Janowego mieczem. A widząc, że się podobno Żydom, przydał, iż pojął i Piotra. A były dni

Przaśników. Którego pojماwszy, wsadził do ciemnicy; podawszy go czworakiej czworo-straży żołnierzy pod straż, chcąc go po Paschę wywieść ludowi. A tak Piotra chowano w ciemnicy. Lecz modlitwa bez przestanku działała się od kościoła do Boga za nim. A gdy go miał wywieść Herod, onejże nocy spał Piotr między dwoma żołnierzami, związany dwiema łańcuchami; a stróże przed drzwiami strzegli ciemnicy. A oto Anioł Pański podle stanął, a jasność się oświeciła w mieszkaniu. A uderzywszy w bok Piotra, obudził go, mówiąc: Wstań rychło. I opadły łańcuchy z rąk jego. I rzekł do niego Anioł: Opasz się i obuj ubrania twoje. I uczynił tak. I rzekł mu: Weźmij na się odzienie twoje, a idź za mną. A wyszedłszy siedł za nim, a nie wiedział, żeby to była prawda, co się działo przez Anioła; lecz mniemał, że widzenie widział. A gdy minęli pierwszą, i wtórą straż, przyszli do bramy Żelaznej, która wiedzie do miasta, która się im sama otworzyła, a wyszedłszy, przeszli jedną ulicę; i natychmiast odszedł Anioł od niego. A Piotr przyszedłszy do siebie, rzekł: Teraz znam prawdziwie, iż Pan posłał Anioła swego, i wyrwał mię z ręki Herodowej, i ze wszelkiego oczekiwania ludu Żydowskiego.

EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza w rozdz. XVI., w. 13—19.

W on czas: Przybył Jezus w okolice Cezarei Filipa i zapytał uczniów Swoich temi słowy: Za kogo mają ludzie Syna Człowieczego? Oni zaś odpowiedzieli: Jedni za Jana Chrzciciela, a inni za Eljasza, inni jeszcze za Jeremiasza, lub za jednego z proroków. Jezus ich pyta: A wy za kogo Mnie macie? Szymon Piotr przemówił w te słowa: Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego. A odpowiadając Jezus, rzekł mu: Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jana; — gdyż ciało i krew nie objawiły ci, lecz Ojciec mój, który jest w niebieszech. Ja także ci powiadam, że ty jesteś Piotrem-opoką, i na tej opoce zbuduję Kościół Mój, a moce piekielne nie przemogą go. Tobie też dam klucze Królestwa Niebieskiego, a cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebieszech, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebieszech.

NAUKA.

Na Uroczystość świętych Apostołów Piotra i Pawła.

Nie masz błogosławieństwa w pracy, kiedy ją dokonywamy bez Boga, t. j. kiedy o Nim wcale nie pamiętamy i kiedy przestępujemy jego przykazania święte, które we względzie pracy nam nadał. Szczególnie za dni naszych przekonać się o tem można, że taka praca jest daremną. W żadnym jeszcze wieku nie rozwinęli ludzie takiego ruchu i takiej pilności, nigdy jeszcze, jak to za dni naszych, nie dokonali tyle wielkich, pięknych i wspaniałych rzeczy. Któryż wiek dorównywa naszemu w przemyśle i w wynalazkach nadzwyczajnych? A jednakże, kiedy zapuścimy sieć, jakież okaże się połów, z tego

wszystkiego? Oto wyznać musimy, że nic nie ulowiliśmy, chociażśmy cały dzień i noc pracowali. Można by myśleć, że wskutek zwiększonego przemysłu, rozszerzonego i bardzo ułatwionego handlu przez żeglugę parową i koleje żelazne, bieda musi ustąpić, a jednak ileż to tysięcy ludzi z sławionej Europy nie przenosi się do Ameryki, wśród pozostałych zaś na ileż nie napotykamy nędzy i ubóstwa i to mniej jeszcze u nas, niż w takiej bogatej i przemysłowej Anglii i Niemczech. Skąd, pytam się, to smutne zjawisko za dni naszych, gdzieby spodziewać się należało, że przynajmniej każdy znajdzie swój kawałek chleba, iż tylu opuszcza kraj swój rodzinny i gdzieś się przenosi daleko po za oceany? Nie przeczę, że różne mogą być tego powody, lecz najgłówniejszym jest zawsze to, że ludzie pracują bez Boga. Przemienili oni swój przemysł w złotego cielca, i stawili sobie i drugim za zasadę tę myśl bałwochwalczą: że dobrobyt jest bożkiem na ziemi, który każdego z niewoli egipskiej, z ziemskich wyprowadza cierpień. Starali się nadto obok podniesienia swojego przemysłu, o zagładę wiary i dobrych obyczajów wśród ludu, o zatarcie w nich wszelkich uczuć chrześcijańskich. I stąd też te częste wystawy publiczne, olśniewające blaskiem przemysłu ludzkiego oko wędrowca. O religię, o wiarę nikt się nie zatroszczy, o krzywdę i niesprawiedliwość jej wyrządzoną nikt się nie upomni! I czyżby praca taka w sposób podobny do wykonania, miała ściągnąć na siebie błogosławieństwo niebios? Czy może ona uszczęśliwić, podnieść i zbogacić ludy? Nigdy, Najmilsi, bo bez Boga nigdy człowiek daleko nie zajdzie, bez Jego łaski i błogosławieństwa, największa nawet praca nie zasłoni go od niedoli i nędzy. Niech więc pracują ludzie we dnie i w nocy, niech wszystkie swoje ku temu wyteżają siły, jeśli pracują bez Boga, pracują daremnie. Ilekroć razy sieć swoją zapuszczają w nadziei obfitego połowu, nigdy nic prócz smutnego zawodu nie ulowią.

O prawdzie tej mógł się każdy przekonać. Możeście sami dostrzegli tego z wielkiem przerażeniem, jak zepsutem, zaniedbanem i bezbożnem jest dzisiejsze pokolenie tych ludzi, którzy jedynie w przemyśle swoim i w ziemskich swoich dobrach widzą Boga swojego, a tem samem najwyższe swoje zakładają szczęście. Zaprawdę poczytałbym musiał tego za człowieka bez wyższego poglądu duchowego, któryby chciał przeczyć temu, że praca bez Boga nie tylko nie uzacnia, nie podnosi ludzi, ale owszem, że ich spycha do rzędu niebezpiecznych, drapieżnych zwierząt.

A jako sprostowanie to niezaprzeczoną jest prawdą, w ogóle, tak też pojawia ono się prawdziwem i w swoim szczególe na pojedynczych ludziach, którzyby bez Boga coś zrobić chcieli. Albo skądże to pochodzi, że chociaż człowiek nieraz dzień i noc pracuje, do niczego jednak doprowadzić nie może? Oto, bo bez Boga pracuje, bo na jego święte przykazania nie zważa, bo wyłącznie samą tylko zajmuje się pracą. Albowiem kto tylko pracuje, aby to, co zrobił, przepił, przehulał, przegrał w karty, stracił na zbytki i rozpustę, ten z pewnością, kiedy w końcu roku sieć swoją zapuści — w nadziei obfitego połowu, nic nie ulowi. Na takim spełniają się słowa Aggeusza proroka: „a kto zyski zbierał, kładł je w dziurawy mieszek“.

Lecz nie koniec na tem; można jeszcze także w inny sposób pracować bez Boga, nie konieczn

Można być człowiekiem bardzo porządnym, nie potrzebując być pijakiem, ani karciarzem, ani też żadnym marnotrawcą, możesz majątkiem twym najlepiej zarządzać, a oto nawiedza cię klęska po klęsce, wypadek po wypadku, i tracisz zupełnie, albo w części twój majątek i widzisz i uczuwasz to samo, że pracy i zabiegom twojem brakło błogosławieństwa Bożego.

Uznajmy przeto Najmilsi! że żadna praca bez Boga nie przyniesie nam błogosławieństwa i starajmy się odtąd wszystkie sprawy, prace nasze zaczynać i kończyć w Bogu, abyśmy próżnych sieci nie wyciągali, kiedy je na połów zapuszczamy. Amen.

Cud św. Antoniego.

(Z czasów przedwojennych).

Miasto Z., niegdyś gród książęcy, w chwili opowiadania było zżydziałą miasteczką, różniącą się od innych miast Wołynia tem tylko, że posiadało stary zamek, zabytek minionej przeszłości, a w kościele cudami słynącego św. Antoniego, do którego garnęły się rzesze szukających pociechy.

Pewnego jesiennego wieczoru miasto układało się do snu. Światła w oknach gasły jedne po drugich, pozostawiając monopol świecenia nielicznym gwiazdom, dla których rywalką niebezpieczną nie była naftowa, w krepy kopciu spowita latarnia.

Cisza ogarnęła miasteczko i tylko od czasu do czasu odgłos kroków późnionego przechodnia, lub brzęk żelazniwa frachtowego wozu mącił chwilowo spokój.

Naraz coś targnęło powietrzem... Dźwięk jeden, drugi padł w ciszę... To głos dzwonu na wieży kościoła. Dzwon rozbrzmiewa, kołysze się coraz szybciej. Coraz goręcej i groźniej jęczy śpiż; coraz rozpaczniej drga śpiżowe serce.

— Gore! — krzyczą zbudzeni mieszkańcy. Otwierają się okna. Przerażone półodziane postacie ukazują się w nich i nieprzytomnie rozglądają wokoło, śledząc przerażonym wzrokiem, z której strony nadchodzi wróg.

Niedługo szukano; z pod gontów jednego z domków wyłaniają się płomienne języki, pełzną, wzmagają się i łączą w płomieniste węże, a kłęby czarnego dymu snują się nad miastem. Popłoch nie do opisania. Słychać krzyki, lamenty, płacz zbudzonych dzieci. Nieliczne beczki, napełnione wodą, służące, jako aparat ratunkowy, dudnią po wyboistym bruku. Tu i tam biegną ogłupiali nieszczęściem mężczyźni, śpiesząc na ratunek. A wśród zgietku rozlega się ochrypły głos rosyjskiego „stójkowego“;

— Nu, kuda leziesz, sukin syn?

Tymczasem z powodu silnego wiatru pożar przybiera coraz większe rozmiary. Ratunek okazał się zbyt słaby. Płomienie ogarniają sąsiadujące z sobą budynki. Fale ogniste rozlewają się coraz szerzej i co chwila nowa rakietą iskiei obwieszcza nowe nieszczęście. Morze ognia pochłania budynek za budynkiem. Wiatr przerzuca kłaki ogniste aż poza miasto. Rozpacz mieszkańców dochodzi do zenitu.

Dantejskie piekło... Rozszalały żywioł z furją rzuca się naprzód, drwiąc z wysiłków ludzkich; pożera i trawi, zamieniając pół miasta w popioły i zgłiszczają.

Na skraju palącej się polaci stała maleńka, polatana chatka biednej wdowy, gniazdo jej pięciorga dzieci.

Oniemiała z bólu, z rękami załamanymi, osłupiałym z przerażenia wzrokiem ogarniała matka niszczący żywioł. Bezradnie patrzyła przed siebie, przytulając do piersi najmłodsze swe dziecko, spódnicy jej czepało się jeszcze czworo drobiazgu, płacząc i wołając; „Mamo“! A ona skamieniała z bólu, bez ruchu, śledziła wroga, czyhającego na dach jej dzieci.

Już, już... Ostatni dom płomień już ogarnia... Już go ogarnął... Już płonie!...

Wdowa rozpacznie powiodła wzrokiem za snopem iskier i oko jej padło na oświetlony krzyż wieży kościelnej. Krzyż zamigotał w jej oczach i odbił się w mózgu, a sercem zatargało nieznane uczucie.

Naraz z gardła wydarł się rozpaczny krzyk; „O, święty Antoni! Ty uratuj me dzieci!“

Widocznie krzyk matki, potężny wiarą, jak grot złocisty, przebił niebiosy i padł u stóp Najwyższego. Bo oto stało się coś nieoczekiwanego. W tym samym momencie wiatr zmienił kierunek i, ogarnawszy morze płomieni, podniósł je tam, skąd przyszedł.

Przepojona szczęściem, podziwem i wdzięcznością płacząc ze wzruszenia, padła twarzą na ziemię i leżała tak długo, długo, korząc się przed Wielkim, Nieznanym, a tak Miłościwym!...

Nazajutrz, kiedy słońce zaczęło swój dzienny — przegląd, złociste jego otło powlokła chmura smutku. Z połowy miasta zostały jedynie dogorywające zgłiszczyska, a wśród nich nędzna lepianka wdowy, a widomy dowód Miłosierdzia Bożego i mocy Tego, którego Bóg ustanowił opiekunem nieszczęśliwych.

Nazajutrz wdowa zaniósł do kościoła ofiarę na nabożeństwo dziękczynne do świętego Antoniego. I czyniła to do śmierci w każdą rocznicę cudownego ocalenia.

Sen Napoleona I.

Bitwa zwycięska Napoleona pod Wagram złamała potęgę Austrii i zniszczyła wszystkie jej polityczne nadzieje. Europa cała kornie schylała głowy przed sztandarami francuskimi, zwycięskimi na tyłu polach bitwy.

Napoleon pod stopami swymi miażdżył berta całego świata.

Anglia była wyczerpana, Rosja z trwogą spoglądała w przyszłość — Prusy były upokorzone, a Włochy miały być wcielone do olbrzymiego cesarstwa francuskiego.

Austria pokonana, trwożliwie wyczekiwała wyroku dumnego zwycięzcy, wyroku od którego zawisła cała jej przyszłość. Napoleon schronił się był do zamku Schoenbrunn, aby tam w ciszy i skupieniu opracować warunki sławnego pokoju wiedeńskiego.

Było to 13 października 1809 r.

Dnia tego, cesarz o mało, że nie zginął od sztyletu zbójcy niemieckiego, więc też dziwić się nie można było, widząc go wzburzonego i przebiegającego niecierpliwymi krokami sale swego mieszkania. Ponury i zamysłony władca Francji zdawało się, że ciskał gromy na ukrytego wroga.

Noc zwolna zaczęła zapadać, chmury pokryły niebo i żadna gwiazdka nie błyszczała na firmamencie. W wielkim kominku sali słychać tylko było ponury świst wiatru, podobnego do jęków ludzkich.

Napoleon pogrążony w myślach, dumał nad tem, co był dotąd zdziałał, i nad tem, co mu jeszcze pozostawało do zrobienia, aby raz zaczęte dzieło najświetniej uwieńczyć, a siebie okryć nieśmiertelną chwa-

łą. Rozmyślał również nad traktatem, który miał na-
zajutrz podpisać; miałby on doprowadzić go do
tak pożądanego końca lub przeciwnie, miałby on
może spowodować jego upadek?

Jaka przyszłość czekała tego potężnego mocarza Europy?

Pragnął gorąco uchylić tej tajemniczej zasłony, ale im więcej natężał swój umysł, by rozwiązać tę tak ważną niezmiernie dla niego sprawę, tem więcej tracił jasność poglądu na przyszłość.

Wyczerpany ze zmęczenia rzucił się cesarz w ko-
cu na łóżko i po chwili zasnął głęboko.

Północ wybiła na wieży zamkowej. Nagle, tuż przy swem posłaniu Napoleon ujrzał rycerza. Na twarzy jego rozlany był majestat królewski — rysy jego były, jak gdyby zczerniałe od pyłu wojennego, a na dumnym wyniosłym czole błyszczała złocista korona.

Napoleon przez chwilę przyparzył się zdumiony temu niezwykłemu zjawisku, lecz wnet usta nieznanego bohatera rozchyliły się i w te słowa przemówił do niego;

— Synu zwycięstwa, nie lękaj się mnie. Jestem Sobieski, dawny obrońca starej Polski! Podobnie jak i ty na wzgórzach Kahlenbergu i pod murami Wiednia rozproszyłem liczne nieprzyjacielskie zastępy. Niebiosy błogosławiły mój sztandarom. Przedemną wielu monarchów próbowało ratować Europę zagrożoną najazdem hord muzułmańskich; wielu męczenników padło na polu walki, a krew polska przez wiele — wiele wieków płynęła z pod miecza wyznawców Mahometa.

Polska zawsze była pierwsza w szeregach walczących za wiarę. Bez niej, kto wie, może oddawna już Europa byłaby prowincją muzułmańską, a Europa cała jęczałaby w niewoli i hańbie pohańców.

Bóg jednakże ukarał nasze grzechy, i oto dla niego naród ten dzielny, męczy się pod jarzmem zwycięzcy. Nasze wady, nasza niezgoda wydała nas bezbronnych w ręce chciwych sąsiadów. I przyszli kozacy i zgrabili nam nasze mienie, powypędzali nas z naszych domów, porwali nam nasze żony i dzieci i zapędzili nas na stepy zamazłe Syberji.

Na próżno wołania nasze od tyłu lat wznoszą się ku niebu. Ale oto wzrok Wszechmocnego spoczął na nas i nadzieja zabłysła w naszych sercach znękanych.

Cesarzu! Jestem wysłańcem Boga i od Niego przynoszę ci śmierć lub życie. Wybieraj! Dziś wszystko możesz. Europę masz pod twymi stopami, od ciebie wyczekuje ona wyroku, który ma ostatecznie rozstrzygnąć o jej losie. Bóg rozkazuje ci, abyś odbudował dawną Polskę, chce On, abyś jego naród na nowo powrócił do życia. Polska zawsze była wierną siostrzycą Francji, chrzest wiary i krwi niejednokrotnie łączył je na polach walki. Dziś nawet w szeregach twoich wojsk wiele ujrzyś synów naszych dzielnych bohaterów. Francja może nam zaufać, u wrót wschodu będziemy dla niej obroną czujną, zawsze na stanowisku, aby odeprzeć wroga.

Wdzięczność nasza przywiąże nas na zawsze do synów Francji. Cesarzu, wszystko od ciebie zawisło — słowo twoje jedno może nas do życia powołać.

Ale jeżeliby prawica twoja zdradzała, jeżelibyś nie miał odwagi wykonać rozkazu danego ci z góry, jeżeliby twoje serce było nieczule na płacz nieszczęśliwych, wtedy pamiętaj, że mocarze ziemi są tylko wykonawcami wyroków Bożych a jeżeli tej woli najwyższej opierają się, wtedy Bóg zsyła karę i niszczy ich potęgę.

A teraz spojrzysz na niebo i zobacz co cię w przyszłości czeka. Cesarz zwracając swe oblicze w stronę wschodu, ujrzał olbrzymią przestrzeń pokrytą śniegiem i lodem. W dali słychać było, jak gdyby głucho odtęczały działy bojowych. Tu i tam czerwone łuny widniały na niebie jak odbłask gorejących, płonących miast.

Po chwili straszny ten obraz zniknął i ciemności znowu ogarnęły ziemię.

Napoleon nadaremnie usiłował wytłumaczyć sobie ten widok tajemniczy, nic z tego nie rozumiał; ale oto zobaczył gwiazdkę samotnie migoczącą na sklepieniu niebios. Nagle gwiazdka ta zadrżała, zbladła podobna do gasnącej lampy i z wolna zaczęła chylić się w nieznane przestworza, po chwili oderwała się od firmamentu i rozdzieliła się na dwoje w przestrzeni. Jedna jej część spadła na zamek Schoenbrunn, a druga zagubiła się w falach Oceanu. W tej chwili Napoleon ocknął się z swego twardego snu. Aż do rana usiłował nadaremnie wytłumaczyć sobie znaczenie tego tajemniczego ostrzeżenia.

Kto wie, czy utworzenie księstwa Warszawskiego nie było wynikiem tego proroczego widzenia? Ale dopiero może na dobre pojął Napoleon znaczenie snu będąc samotnym, opuszczonym na wyspie, św. Heleny, wśród fal Oceanu!

Ukarany bluźnierca.

W uroczej okolicy południowo-zachodniej Francji wśród barwnych łąk i łąków, niby srebrna wstęga, wije się rzeczka Dourdon. Po jednej stronie, prowadzi droga z Montauban, po drugiej z Albi, a obie drogi łączy ze sobą wspaniały most, spoczywający na siedmiu potężnych łukach.

A piękna to rzeczka Dourdon. — Niby przebiegła zalotnica kryje się raz po raz przed okiem wędrowca wśród wzgórz spadzistych i lasów, — to znów po rozległej dolinie zatacza swe kręgi, aż w końcu wśród dalekich gór ginie. — Ton jej, jak lustro przezroczyste, a woda płynie cicho i spokojnie, lekkim szumem zaledwie swój bieg zdradzając.

Lecz Dourdon potrafi być zmienną i zdradliwą. Bo kiedy na wiosnę na okolicznych wzgórzach stopnieją śniegi i spłyną do jej łóżyska, — natenczas ta skromnista rzeka szybko swą postać, po prostu szaleje, a pieniące jej fale zalewają całą okolicę. Wtedy biada temu, kto jej w drogę wejdzie, porywa i unosi wszystko ze sobą.

Taki to wypadek wydarzył się przed kilkoma laty. Nagle wezbrała rzeka, wystąpiła ze swego łóżyska, zalewając całą okolicę. Nie dziw, że i most, jakkolwiek mocno zbudowany, z trudnością tylko opierał się rozhukanemu żywiołowi. Chwila tylko a pękły 2 filary i z wielkim łoskotem pogrążyły się w pieniących falach. Spustoszenie było wielkie. Ponieważ atoli most był potrzebny, trzeba go było jak najprędzej naprawić.

Rozpoczęto więc roboty. Ze wszystkich stron, przybywali robotnicy, a wśród nich olbrzymią siłą odznaczał się cudzoziemiec, nazwiskiem Jakób Destonus. Był on równocześnie dozorcą robót. Głazy, które czterech chłopów zaledwie z miejsca ruszyć zdołało, on sam dźwigał z największą łatwością. Lecz, kiedy popadł w gniew, to stawał się postrachem dla swoich współtowarzyszy pracy, bo kłął, jak poganin.

Zwykłą jego kłatwą było;

— Boże, zmiądź mnie!

Skoro tylko jaka rzecz nie była wykonaną po jego myśli i woli. natomiast kłął w żywe kamienie.

A wtedy człowiek ufający Bogu, w cichości serca — wzdychał;

— Boże, zlituj się nad nami!

Działo się to we Vabres. Miasto to było starą siedzibą biskupów, a mieszkańcy jego zachowali staroświeckie głębokie przekonanie religijne. Łatwo więc można sobie wystawić, jak przygnębiające wrażenie wywierały na umysłach ludzi podobne bluźnierstwa. Powszechnie dały się słyszeć głosy;

— Albo nad nami zawiśnie gniew Boży, lub też jego Bóg ukarze.

Jakób jednakowoż nie zaprzestał swej kłatwy, pomimo napomnień, jakich mu nie szczędził ks. proboszcz. Spotykając go na przechadźce, napominał często;

— Jakóbie, mój przyjacielu i bracie, zaklinam cię, nie kłnij tyle. Musisz mu przyrzec, iż więcej kłąć nie będziesz. Czy chcesz to uczynić?

Jakób przyrzekał wprawdzie, lecz nigdy słowa nie dotrzymywał.

Kiedy siedział przy kieliszku ze swoimi kompanami, opowiadał im o spotkaniu z ks. proboszczem, a przytem dodawał;

— Po co on się miesza w moje sprawy?

Lecz nawet przyjaciele jego byli tyle rozumni i odpowiadali mu;

— Przyjacielu, mówisz to zbyt lekkomyślnie, czyżby Bóg nie mógł cię skarać natychmiast za twoje słowa?

— Ej, co tam — odpowiadał Jakób, wznosząc swój kieliszek — gdyby rzeczywiście był Bóg w niebie, toty już dawno był to uczynił.

Tymczasem robota przy moście postępowała równo naprzód i most był prawie skończony. Było to wieczorem i właśnie miano ostatni kamień włożyć do siódmego filaru. Mnóstwo ludzi zebrało się tak na moście, jak i na brzegach rzeki, aby brać udział w tej uroczystości. — Niebo było pochmurne, a w dali słyszeć było mozną grzmoty i bicie piorunów, dla tego też starano się ukończyć robotę przed nadjeściem burzy. Jakób świecił wszystkim przykładem zachęcając opieszalszych do pracy.

Wszystko szło dobrze. Ostatni kamień już wciągnięto do góry. Niestety okazało się, że kamień, jest za wielki i chcąc nie chcąc trzeba go było spuścić na dół, aby go cokolwiek obciosać. Tymczasem wieczór zapadał, lecz mimo to załatwiono resztę i przy świetle latarni wciągnięto znowu kamień do góry i osadzono go w oznaczonym miejscu.

Tymczasem burza przybrała większe rozmiary. Jeden z robotników wchodził na najwyższe rusztowanie, aby lepiej wszystko zbadać, lecz przytem zauważył, że kamień jeszcze nie stosuje się do otworu. Majster Jakób nie może się dłużej powstrzymać i poczyną kłąć zwykłym zwyczajem;

— Niech mnie Bóg zmiądź!

W tej samej chwili błyskawica oświeciła całą okolicę. Robotnicy przestraszeni upuścili kamień, który druzgocąc rusztowanie spadł w głębię. Naturalnie, powstał wielki popłoch, tak przypatrująca się publiczność jak i robotnicy usiłowali się ratować.

Kiedy minęła pierwsza chwila przestachu, robotnicy weszli znowu na rusztowanie, lecz skoro ujrzeni wzrastającą wodę i rozhukane fale, opuścili natychmiast niebezpieczne miejsce, obawiając się niechybnej śmierci.

Kiedy przystąpiono do apelu, nie brakło ani jednego z robotników, z wyjątkiem ich wermistrza Jakóba. Kamień rzeczywiście go zmiął. — Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy, ze sobą igrać nie pozwoli.